

# HARCERZ

TYGODNIK MŁODZIEŻY HARCERSKIEJ.

Rok III.

Listopad 1919 r.

Nr. 41—44.

Cena 2 marki.

*By dźwignąć nowy przyszłości gmach  
Trzeba mieć oczy wiarą płomienne.*

*Piotr Nowina.*

## Listopad 1918 roku we Lwowie. — Oblężenie.

Dnia 1 listopada 1919 r. w pierwszą rocznicę obrony Lwowa.

W czasie walk o Lwów, kiedy raz siedział wraz z kilkunastu chłopcami na placówce „Bema“, w zamkniętym szczelnie na wszystkie drzwi i zapchanych siennikami oknach, budynku, przyszło mi na myśl, iż na-

prawdę Lwów w tem co przeżywał i z temi co go bronili dziwnie jest podobnym do Mefekinga, który to zrodził ideę skautową w Anglii.

Dalsze walki o miasto i samo jego oblężenie przez ukraińców jeszcze bardziej przekonały nas o tej analogji, a równocześnie utrwaliły pogląd, iż udział młod-

cianych żołnierzy w obronie Lwowa stwarza nową doniosłą kartę w życiu polskiej młodzieży, kartę z której długo czerpać będziemy mogli piękne wzory, uduchowione siłą poświęcenia, miłością Ojczyzny, szlachetnego czynu i niesłychanej brawury.

W pierwszą rocznicę obrony Lwowa przypatrzmy się już z pewnego oddalenia, biegowi wypadków i temu [co zdziałała młodzież. Niech się każdy przekona, ile to potrzeba ofiar i trudu, aby Polskę budować.

A cóż to się stało we Lwowie? O, stała się rzecz niesłychana, rzecz, która razila cały naród polski jak prąd elektryczny, a która zleciała tak niespodzianie jak piorun: prastary gród polski, strażnica wschodnia, został podstępnie zawładnięty przez rusinów. Kiedy lwowianie obudzili się rano w dniu 1 listopada na



Pierwszy samochód pancerny polski we Lwowie. Dokoła zgłaszający się do szeregów ochotnicy.

Wszystkich Świętych, ujrzeli straszny widok: nad miastem powiewały flagi ukraińskie, stwierdzające, iż Lwów już nie należy do Polski; po mieście uganialy lotne samochody z uzbrojoną załogą ukraińską i chodziły patrole—ogłaszając tem samem, że

miasto jest w ich posiadaniu i że nikomu nie pozwolą go sobie wyrwać. Też noc jeszcze t. j. z d. 31 października na 1 listopada o 4 godz. zostały przerwane w mieście wszystkie połączenia telefoniczne, a dworce i gmachy publiczne obsadzone załogą ukraińską; na ulice wytoczono karabiny maszynowe.

Wystraszeni mieszkańcy ze zgrozą i zdziwieniem chowali się do domów. Wszystkich ogarnęła rozpacz. Co będzie dalej?! Wszak polskiego wojska jeszcze nie mamy. Lwów kompletnie bezbronny. Są wprawdzie we Lwowie dwie czy trzy grupki wojskowych, ale każda z tych grupki należy do innej organizacji wojskowej i niezmiernie są ze sobą związane. Wszystkich nie więcej nad kilkudziesięciu ludzi.

Zdawało się, że wszystko już stracone

Ale kilku dzielniejszych ludzi podniosło śmiały projekt odbicia miasta. Organizacje wojskowe i polityczne projekt ten podchwyciły i zgodnie się połączyły dla wspólnego działania. Obrano komendanta obrony, którym został kapitan Czesław Mączyński. Przed wszystkimi stanął obraz wielkiej klęski moralnej i materialnej, jakaby poniósł kraj po utracie Lwowa, a po drugiej wszystkie poczuli się jednako odpowiedzialni za ten polski gród.

Przejęci tą wielką rolą postanowili miasto odebrać za wszelką cenę.

Obliczono siły. Był zupełny brak karabinów maszynowych i granatów ręcznych, niezbędnych w walkach ulicznych, a pozatem armat, samochodów pancernych i innych środków niezbędnych; natomiast rozporządzano zaledwie 80 ludźmi i 64 karabinami.

Było to zbyt mało, ażeby powziąć niewykonalną na pozór decyzję.

Ale było jeszcze parę środków, a mianowicie, wiara w zwycięstwo i silna wola dokonania zwycięstwa. Z tem walkę rozpoczęto

Jak tylko rozległy się pierwsze strzały, zaczęli z miasta napływać licznie ochotnicy. Wola i wiara przenikły wszystkim. Nadszali grupkami lub pojedynczo oficerowie i żołnierze, legjoniści, powiacy, dowborewcy, wojskowi zdemobilizowani, a razem z nimi i ludność cywilna. Młodzież szkolna i rzemieślnicza stanowiła bardzo znaczny odsetek zgłaszających się obrońców. Rzucili szkoły i warsztaty i pobiegli w stronę rozlegających się strzałów. Sporo było między nimi dzieciaków 12-letnich.

Do służby łącznikowej stanęli harcerze lwowskiej podkomendy 4-ty Grodyńskiego. Młodzież akademicka, która zjechała na 1 listopada do Lwowa na Zjazd Akademicki ze wszystkich dzielnic Polski, gremjalnie zgłasza się do szeregów. W piątym dniu walki ogłoszono mobilizację wszystkich, zdolnych do noszenia broni.

Jakoż w pierwszych już dniach, wojska było około stu kilkudziesięciu ludzi, którzy z furją nacierali na wroga. Poczucie słuszności sprawy, za którą waleczono i przyrodzona brawura polskiego nawet mało wyćwiczonego żołnierza, sprawiły, że ta nieliczna garstka na wszystko zdecydowanych ludzi, zaczęła dzień po dniu odnosić coraz większe zwycięstwa nad wrogiem, który liczył wtedy około 6000 linjowego żołnierza, pochodzącego z pułków austriackich.

W piątym dniu walki dokonano już tego, iż zajęto połowę miasta, rozporządzano amunicją i bronią, a co najważniejsze 13 karabinami maszynowymi, zdobytymi własnoręcznie; wkrótce specjalna wyprawa po broń przyniosła kilka armat; stworzono warsztaty automobilowe, założono fabrykę granatów ręcznych, zbudowano auto-pancerne i pociąg pancerny, uruchomiono parę aeroplanów.

15 listopada do linii bojowej już się zaliczało 1800 ludzi, a po za tem 2300 osób pełniło służbę pomocniczą. Wszystko to Lwów zdobył i wystawił własnymi siłami. Kobiety również stanęły do obrony miasta. Wiele z nich poszło wprost do szeregów, inne organizowały pomoc sanitarną na placówkach i w szpitalach, oraz prowiantową, niosły straż bezpieczeństwa i t. p.

Walka toczy się nieublagana, straszna. Często już nie ulice, lecz poszczególne domy stają się terenem śmiertelnych zmagania. Niejednokrotnie zdarza się, że na jednym piętrze lub budynku są ci, a na drugim tamci i że podpalenie gmachu staje się jedynym sposobem wypędzenia wroga. Przez pokoje prywatnych mieszkań i parkany przebijają się wyłomy, ażeby się dostać do następnych zabudowań. Zarówno kanały, jak strychy domów i dachy mogłyby coś powiedzieć o przekradających się wtedy rycerzach.

Ludność cywilna silnie trapią ciągłą strzelaniną naokoło i głodem, żyła w strasznym niepokoju o swoich synów, mężów i braci, a także o tych, którzy, jak dzieci, kobiety i starcy, musieli siedzieć zamknięci o głodzie, chłdzie i ciemnościach, w piwnicach i suterenach.

Ale wojsko biło się dzielnie.

Na swych placówkach niejednokrotnie było zasypywane gradem pocisków armatnich, min i kul karabinowych; zdawało się żadna żywa dusza nie wyjdzie z tego piekła. W takich razach widząc śmierć niechybną, gdyby dłużej pozostawali na swej placówce, a nieznając zasady cofania się wstecz, rzucali się z brawurą i podziwu godną śmiałością naprzód do kontrataku i odnosili zwycięstwa. Większość żołnierzy w tych oddziałach stanowili chłopcy od lat 15 do 19.

Padło tych bohaterów nie mało, tracąc życie lub odnosząc ciężkie rany. Ale ani śmierć, ani kalectwa nie były im straszne. Patrzyli na to jak

na rzecz zwykłą i pewną zasługę wobec Polski, Lwowa i tych swoich rodzin, których bronili.

Wreszcie zaczęło braknąć amunicji, której dużą moc wystrzelano (za okres walk od 1—21 listopada 10 milionów naboju), ludzi i żywności; nieprzyjaciel zaś wciąż nowe posiłki otrzymywał i zjadł atakował we wszystkich punktach miasta, starając się odebrać utracone pozycje. Początkowa polska przewaga stopniowo słabła, i wzajemne siły przeciwników zaczęły się równoważyć.

Zbliżała się chwila, w której miała nastąpić przewaga na jedną lub drugą stronę; wstyd i hańba w oczach swoich i całego świata, albo tryumf, zwycięstwa i radość. Wreszcie linja bojowa stanęła na miejscu i przestała się posuwać wpród lub w tył. Wysłano do Warszawy, Krakowa i Przemyśla kurjerów o pomoc, która teraz bardziej niż kiedykolwiek była potrzebna. Lotnicy przywieźli odpowiedź, że odsiecz za kilka dni nadejdzie. W słabnące siły wstąpiła nowa otucha. Pomimo kule, choroby, głód, chłód i wyczerpanie, które walilo z nóg, szczególnie młodych chłopców i cywili, postanowiono wytrwać. Gdyby wtedy kto był obszedł szeregi polskiego frontu, toby wyczuł jedną tylko myśl, którą byli wszyscy opanowani: „wytrzymamy aż do nadejścia pomocy“, o której nawiasem mówiąc nie wiadano kiedy faktycznie przyjdzie.

Jakoż wytrzymali.

W 21 dniu śmiertelnych zapasów nadeszła odsiecz.

Wrogi zagrożony otoczeniem z flanków i z tyłu zaczął szybko opuszczać miasto. Oczywiście, sąsiedzi jego z przeciwnej strony, starannie go przynaglali do pośpiechu.

Mężczyźni, młodzież, kobiety i dzieci spełnili swój obowiązek.

Lwów był wolny.

\* \* \*

Ale nie długo święcono spokój i radość.

Nieprzyjaciel cofnąwszy się o kilkadziesiąt kilometrów za miasto, otoczył go ciasnym pierścieniem i rozpoczął oblężenie. Nie dało mu się złamać Polaków pierś o pierś, więc postanowił zmusić ich do poddania się głodem, brakiem amunicji i żołnierza, oraz ciągłym nękaniami. Zaczął się drugi, nie mniej ciężki okres polskiego Mefekingu.

Żelazny pierścień nie przepuszczał do miasta żadnych środków żywności, a grad pocisków armatnich zabijał i kałeczył ludność, oraz walił i niszczył domy prywatne i gmachy publiczne. Ludność polską, jakoteż pochwyconych jeńców i sanitariuszy, mordowali ukraińcy naokoło miasta w najstraszliwszy sposób. Był to krwawy odwet za porażkę we Lwowie. Ale bohaterzy lwowianie, którzy już tyle przecierpieli i teraz nie upadali na duchu. Pomimo głodu i wszelkich cierpień, wszystkich opanował

entuzyzm wytrwania. Kul i pocisków przestano się bać. Głód i chłód zimowy dodawały tylko jakiegoś gorączkowego zapалу odpornego. Wierzano w wielką siłę solidarnego wystąpienia, gotowości każdego Polaka do poświęceń, no i że kraj przyjdzie z dalszą a skuteczniejszą pomocą. Wszyscy zorganizowali się w jedno wojsko i pomimo ciężkich strat, nawet nie myśleli o poddaniu się.

A wściekły wróg pierścień swój zaciskał i zwał.

Coraz bliżej zaczął podchodzić do rogatek, aż wtem jednego razu wtargnął do przedmieść. Nowo zawarezały karabiny na ulicach, a pociski ze straszną eksplozją zasypywały wszystkie ulice. Kto żył chwycił za krogocin, jaką władzę potrafił; kobiety, dzieci i starcy, byle tylko nie dostać się żywcem w ręce nieprzyjaciela.

Tak trwało kilkanaście dni.

Lecz były to już ostatnie wysiłki wroga.

Z zachodu nadechodziła Polakom pomoc: wojsko, armaty, pociągi pancerne, żywność. Pierścień coraz to zaczął słabnąć, aż wreszcie pękł, najprzód od strony zachodniej, a później cały rozleciał się w drobne kawałki.

Polska armja przybyła na wyzwolenie rodaków, z furją rzuciła się na nieprzyjaciela i nie dając mu się nigdzie oprzeć, wypędziła go aż poza granice kraju.

Lwów znowu był wolny i w rękach polskich, lecz tym razem już na zawsze.

Wł. N.

\*\*\*\*\*

## W rocznicę listopadową...

„Przez kres do wskazanej Ojczyzny jest szlak  
Więc oto ginie dziś dla Niej!  
Krwie krople zakwitły na polu jak mak...”

W jesienny, słotny czas, w owe pełne niemiejskargi i cichej tęsknoty dni, kiedy wichur żałośnie lka w konarach nagich drzew — święci nasz Naród Listopadowej Nocy dostojną rocznicę.

Rok rocznie w on cichy wieczór 29 Listopada czełmy wdzięcznym a miłującym sercem pamięć dzielnych Podchorążych, którzy ongiś o jesiennym zmroku rzucili śpiącej Warszawie dumne hasło „do broni”, ogniem swego młodzieńczego zapalu i serdecznej wiary porwijając braci do orlego lotu ku Wolności światem.

I oto dziś znowu nadchodzi ta pamiętna w polskich dziejach rocznica. A w oną rocznicę trzeba nam, ojców zwyczajem, na te groby powstańcze pleśnią i chwastem zarosłe rzucić serdecznych wspo-

sna dusza polska musi wziąć swą życiotwórczą krew, swój ryngraf bojowy!...

Na płynące ku nam z pobojowisk listopadowych... w cichych Olszynki poszumach... od krwawych Ostrołęki pól

Podchorążych dumne hasło: „do broni“ odpowiadamy okrzykiem młodości i wiary  
Czuwamy!

*Plattner Fryderyk.*

St. m. Warszawa—listopad 1919 r.

□□□□□□□□

## Gawęda żołnierska.

Myślicie, koehani, że to łatwo napisać coś z frontu?

Naturalnie! Wszystkim wydaje się zaraz, że dość wziąć pióro do ręki, aby, jak z rękawa, sypać opisy, wrażenia, wypadki. Tak to wygląda z odległości, a że niejedynemu zna front z opowiadań kuzyna ulana, albo z książek, więc sobie wyobraża Bóg wie co i dziwi się, dlaczego, ci co są na linji, tak mało o niej piszą.

Między już te czasy, kiedy to dziadunio siedział przy kominku i gwarzył o dawnych latach, o powstaniu, bojach z Moskalami, życiu na biwaku... Zaczynał za zwyczaj w ten sens:

— Było to, pamiętam pod Małogoszezą... albo:

— Pamiętam jedno zdarzenie; staliśmy na skraju lasu o świcie...

Dziś tego już niema.

I takich dziaduniów już coraz mniej i wnuczęta wolać czytać komunikaty wojenne z walk naszych dni, niż myśleć o tym, co było już tak dawno.

Dzisiejszy dzień ma dla nich o wiele więcej uroku, jest im bardziej zrozumiały.

I wszystko jest w porządku!

Ale właśnie dlatego gromada harcerek radaby usłyszeć coś więcej o tym legiendarnym froncie, zaprzeć choć trochę w zwykłe, powszednie życie żołnierza, takie sobie proste, ot — z dnia na dzień.

A przecież nie codziennie jest coś interesującego do opowiedzenia, nie codziennie są bitwy a i nie w każdej bitwie jest jakiś straszliwy atak na bagnety, albo huraganowy ogień artylerji.

O, na Polskiej Górze, w 16 roku — tam był ogień huraganowy albo pod Stawykorożem — to się nazywa atak, kiedy śpiące w spokoju niewinnego ducha rezerwy musiały zrywać się i w „tenisowych zgola — kostjumach“ odpierać Moskali...

A dziś?...

— Czy to jest wojna? — pytają starzy wyjadacze wojny europejskiej, „leguny“, z różnymi krzy-

żami i blachami na mundurach — ładna mi wojna, kiedy potrzebujesz się tylko ruszyć, a już nie masz za kim gonić. Bolszewicy? To wojsko? — i wnet zaczyna się szereg niepoehlebnych słów, pośród których słowo „banda“ gra pierwsze skrzypce.

No tak!

Dzisiejsza wojna ma jeszcze mniej wydarzeń godnych uwagi niż boje Legjonów, mające bądź co bądź momenty, jakby żywcem wyjęte z „Potopu“

A teraz?

Teraz doprawdy jestem w kłopotach, co Wam o tym froncie opowiedzieć. Wszystko tak krótkie i nieskomplikowane!

Pewieście ciekawi, jak to harcerek dają sobie radę w polu?

Nietylko dają radę, ale i sprawiają się dzielnie, że i lepiej nie trzeba. Porozprasane to po wszystkich możliwych pułkach i oddziałach.

Najwięcej ich jest w piechocie (Piechota królowa wszystkich broni), a szczególnie w pułkach Legjonowych. Sporo jest takich, co poczuwszy w sobie animusz prawie husarski, w przeróżnych pułkach ułańskich i szwoleżerskich sławą zdobywa (te ulan!..), najmniejsza zaś ilość upodobała sobie „dział gromy grzmiaące“ i naszym pocziwym „ósemkom“ i „piętnastkom“ zamki oliwą napuszcza.

Mało się ze sobą widują, bo niewielu jest razem.

W jednej tylko t. zw. Grupie Harcerskiej było ich więcej do kupy zebranych. Stworzona była ta Grupa przy dywizji gien. Roji, który przepada za harcerekami i wielką opieką ten oddział otaczał. Nieraz, bywało, autobibilem na ćwiczenia przyjeżdżał, patrzył z uwagą i widać było, że rad był. A i żołnierze lubili go bardzo.

Po prawdzie, to rzeczywistych harcerek mało tam służyło, ale wszystko było na harcerek kolor wypokostowane, lilijki na ramiennikach nosiło, a biło się — tu już można śmiało powiedzieć — jak harcerek prawdziwi.

Niejednego też i ziemia pokryła w gęstych bitwach czy to pod Lidą, pod Wilnem, czy pod Radoszkowiczami. Oficerów też paru legło, a pierwsza lista strat była swojego czasu pomieszczona w „Harcerzu“.

Dziś tę Grupę już rozwiązano, ale często się o niej wspomina, bo nieraz rozkaz dzienny wysłał dzielność „Grupy Harcerskiej“.

My, dawna wiara harcerek, „starzy weterani“ z pod Bud Uśniackich, Czerska, Zagórza, Płatkownicy i tysiąca innych „miejsce postoju“, nieraz żalujemy, że nie służyliśmy gdzieś razem. Wielu było w Bataljonie Harcerskim w Warszawie i ci znają się lepiej i mają się za silniej złączonych wspólnym czasem pierwszych ćwiczeń i koszarowych przyjemności.

Zdarzyło mi się raz pojechać do Lidy. Przechodzę do Komendy Miasta meldować się i spostrzegam przy stoliku jakiegoś „ważnego“ sierżanta. Że z natury nie jestem płochliwy a do sierżantów specjalnej obominaacji nie czuję, więc walę wprost do niego. A ten mi się przygląda:

— Przepraszam, czy pan... był w Bataljonie Harcerskim? — pyta.

— Byłem, no więc co z tego?

— A bo i ja byłem!

— Tak?, No to dajcież łapę; z której wy kompanji, co tu robicie?

I już gadaliśmy ze sobą, jak dawni znajomi, bez względu na t. zw. „hierarchiczną różnicę“.

I, wiecie, to wszędzie tak. Gdzie stąpniesz, wszędzie jakiś harcerek, a już oddziały wywiadowcze, to się o nich dobijają.

Uważ tedy, mly bracie, że nas mają w cenie i pomnij brać ze starszych przykład do naśladowania.

Siedzimy sobie teraz nad Berezyną.

Przywykło się widzieć w tej rzeczce ostateczną pogromicielkę Napoieona i dlatego woobrażamy sobie zdala, że musi być bardzo głęboka i szeroka, o wartkim biegu i urwistych brzegach. Wszystko niezgodne z rzeczywistością!

Berezyna wygląda wogóle bardzo niewinnie, nie jest ani bardzo szeroka, ani rwąca. Jest to sobie najzwyczajniejsza rzeczka szerokości kilkudziesięciu kroków. Pod Borysowem nprz. położonym poniżej historycznego miejsca przeprawy armji Napoleońskiej, wsi Studzianki, szerokość rzeki nie przekracza 50 kroków, a są i węższe miejsca. Płynie przeważnie wśród łąk, gdzieś tam tylko nadbrzeżne pagórki spadają stromo ku wodzie. Są na niej wody dogodne, zwłaszcza w górnym biegu i doprawdy dziwnym się wydaje, że imię Berezyny tak złowrogo łączy się z imieniem Wielkiego Cesarza.

Dopiero uprzytomniwszy sobie warunki w jakich odbywała się ta fatalna przeprawa, możemy wyrozumieć dlaczego tyle pochłonęła ofiar.

Do dziś dnia pod Studzianką dobywają z rzeki szczątki wozów, pordezwiatale szable, bagnety żarte przez wodę, pieniądze i wszelkiego rodzaju przedmioty, zatopione w niej przed laty. Sam w Studziance nie byłem, ale podobno znajduje się tam pomnik na cześć poległych żołnierzy.

W Nowym Borysowie jest ponadto reduta, usypała niegdyś przez saperów francuskich w charakterze szanica przedmostowego. Dziś szanice ten gęsto porosły sosnami weale dobrze jeszcze zachował kształt prawidłowej figury geometrycznej

Co pewien czas zjawia się jakiś siwy francuski „colonel“ w towarzystwie adjutanta i jedzie automobilem oglądać pamiątki dawnych wojen swojej dalekiej ojezyny. Kiwa sentymentalnie głową

i odjeżdża, ściskając kordjalnie ręce naszych oficerów i życząc powodzenia akeji polskiego oręza „contre ces cruels bolchéviques“

Zdarzają się i inni turyści.

Gdy po zajęciu Nowego-Borysowa byłem na reducie z dowódcą pułku, zauważyliśmy jakiegoś żołnierza na szczycie szanica.

— Skąd jesteście? — pyta dowódcę pułku.

— Z „antelerji“, panie majorze!

— Z artylerji? A skądżeście się tu wzięli?

— A no, oglądam te szwedzkie okopy. Ja okropnie lubię, proszę pana majora, takie starożytności!...

No, ale, że Was pewno mniej te „starożytności“ interesują, więc stawiam kropkę, tymbardziej, że telefonista coś okropnie w aparat wrzeszczy. Obiecuje jednak napisać znów, kiedy mi wena i ochota przyjdzie.

*St. Rawo.*

\*\*\*\*\*

## Polskie czołgi.

We wrześniu Warszawa miała sposobność oglądania sławnych „tanków“ z tym większą niecierpliwością oczekiwanych, że występowały już jako własność polskiej armji.

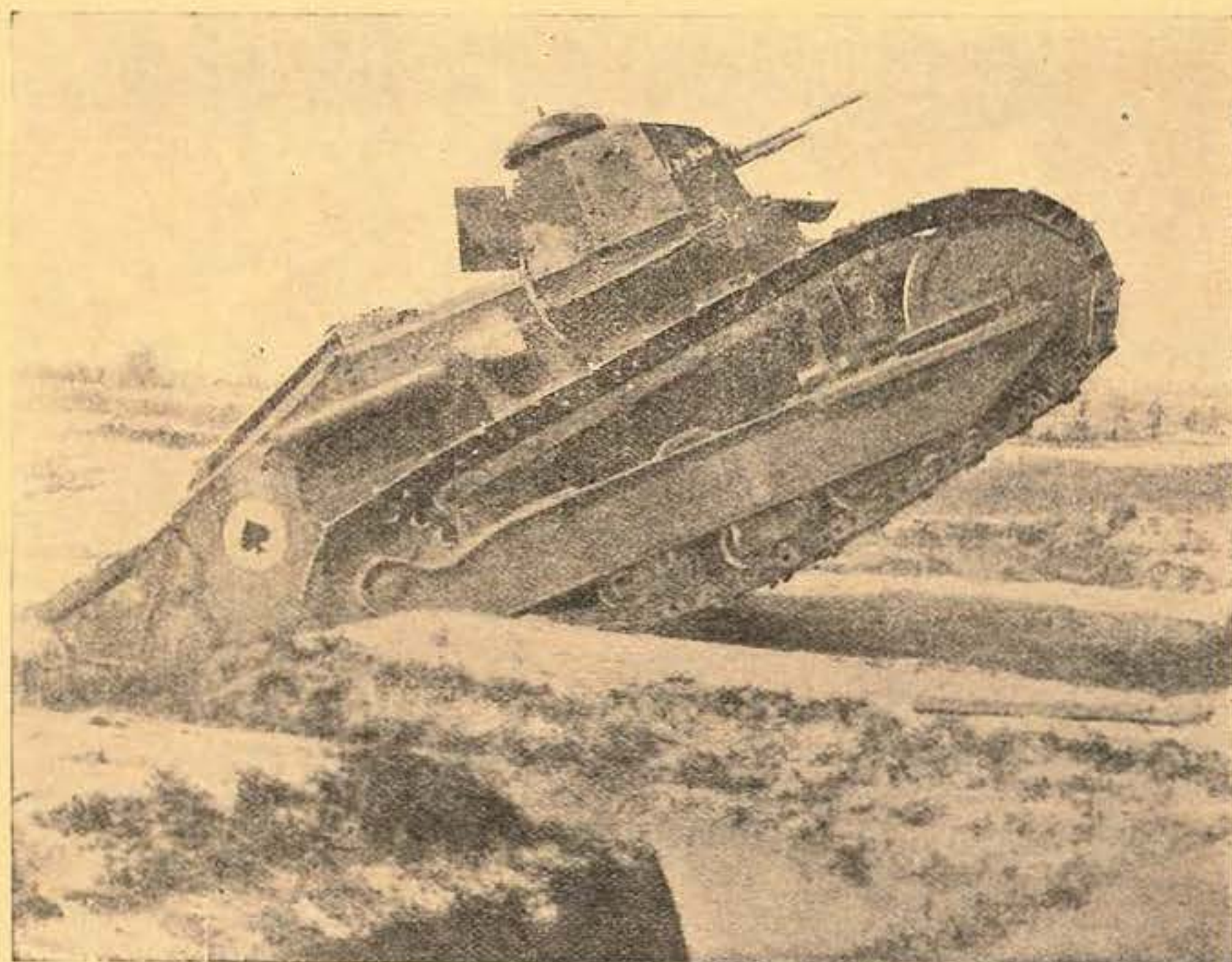
Jest ich obecnie kilka kompanji, z których część brała już udział pod Dźwińskiem i Bobrujskiem, a część tych żelaznych potworków zbierało fundusze na „Biały Krzyż“ występując w parku Sobieskiego w Warszawie.

Udało się mi widzieć je na ulicach miasta w przemarszu z dworca kolejowego do parku. Było to w samo południe, więc odprowadzał je tłum dość liczny. Pierwsze wrażenie robią dość skromne: zamiast spodziewanych olbrzymów są to potworki niewielkie i niskie, wielkości mniej więcej dorożki. Wśród wielkiego hałasu i dymu motorów benzynowych posuwają się nieznacznie leniwym czołgiem się, ale idąc za nimi pieszko, należy dobrze wyciągać nogi, aby nie zostać w tyle. Odciski poprzeczne ich łopatek i tłuste plamy od smaru, jakie zostają na torze dają długi ślad jak po przejściu ślimaka. Powolne ruchy głowy, obracającej się na wszystkie strony jeszcze bardziej potęgują wrażenie, że się ma do czynienia z olbrzymimi ślimakami o żelaznych skorupach. Idą gęśiego tuż, tuż, jeden za drugim, unikając zręcznie zderzenia. Obsługa francuska w skórzanych kaskach i skórzanych kurtkach uśmiecha się wesoło do publiczności. Naraz wypadek: Koń dorożki na gumach cofa się tak gwałtownie, że wywraca powóz na bok i omal sam nie pada. Dopiero po przejściu czołgów uspakajają zwierzę i podnoszą dorożkę.

Sam popis odbył się kilka godzin potem. Publiczność zastaje na placu 4 stojące bez ruchu jakby umarłe czołgi. Na wieżyczkach chwieją się chorągiewki i widać białe napisy „Ciołek“, „Aniela“, „Valentine“ i t. d. Szerokie koło co kilkadziesiąt kroków posiada jakąś przeszkodę, duży, oszalowany deskami okop, potem druty kolczaste, dalej rowy strzeleckie o dużej głębokości, sztuczne robione

bie, rwące i łamiące, co bynajmniej nie osłabia szybkości jego biegu. Za chwilę przemyka się nad głębokim okopem wdzięcznie zwracając na boki wieżyczkę zbrojną w działko szybkostrzelające niewielkiego kalibru. Z równą swobodą przebywa „leje“ i mknie dalej. Przy płocie zatrzymuje się chwilę. Pierwsze łopaty taśmy, raniąc deski, wspinają się w górę, tylne wściekle ryją ziemię, cały plot drży

#### POLSKIE CZOLGI.



Czołg przebywający okop.

„leje“ od granatów 42 cm. dział, w końcu zaś plot drewniany z grubych belek.

Po długim czekaniu w obecności Naczelnika Państwa, generała Henryka i pana Prallon ruszają czołgi do „roboty“.

O ile dawniej były zastęgle w bezruchu, o tyle teraz podziurkane jak szalony, rozpędzone, niepowstrzymane w biegu. Pierwszy z nich wkracza na przeszkody, podnosi się cały dęba do góry i opada z szalonym łoskotem w dół. Ale tylko na chwilę, bo już odgrzebawszy potężnymi łapy ziemię i szczytki desek uderza na druty kolczaste, ścieląc je pod sie-

od wściekłych szarpnięć, wreszcie wali się jak długi, a grube na 20 cm<sup>2</sup> belki trzaskają jak szalówki.

Czołg w biegu to zwrotna, szybka, jadowna gadzina. Puszczając jedną swą taśmę a zatrzymując drugą, może zakręcić w miejscu, wprost zrobić „w tył zwrot“ jak na komendę, a zarazem kręcąc wieżyczką, polewać jak z sikawki kulomiotem.

Wewnątrz zawiera tyle miejsca, ile trzeba na maszynistę i strzelca. Prócz tego może zabrać pasażera i było nawet ogłoszone, że publiczność może użyć przejażdżki po 50 M. od osoby, ale nie zauważyłem amatorów niezwyklej jazdy. Oglądałem

natomiast wewnątrz czołga pełne pocisków, zawieszonych na ścianach i drzwiczki z przodu i z tyłu maszyny.

Popis ściągnął tłumy publiczności, które złamały wszelki porządek, biegnąc za czołgami. Dużą część uczestników stanowiła młodzież przeważnie harcerska.

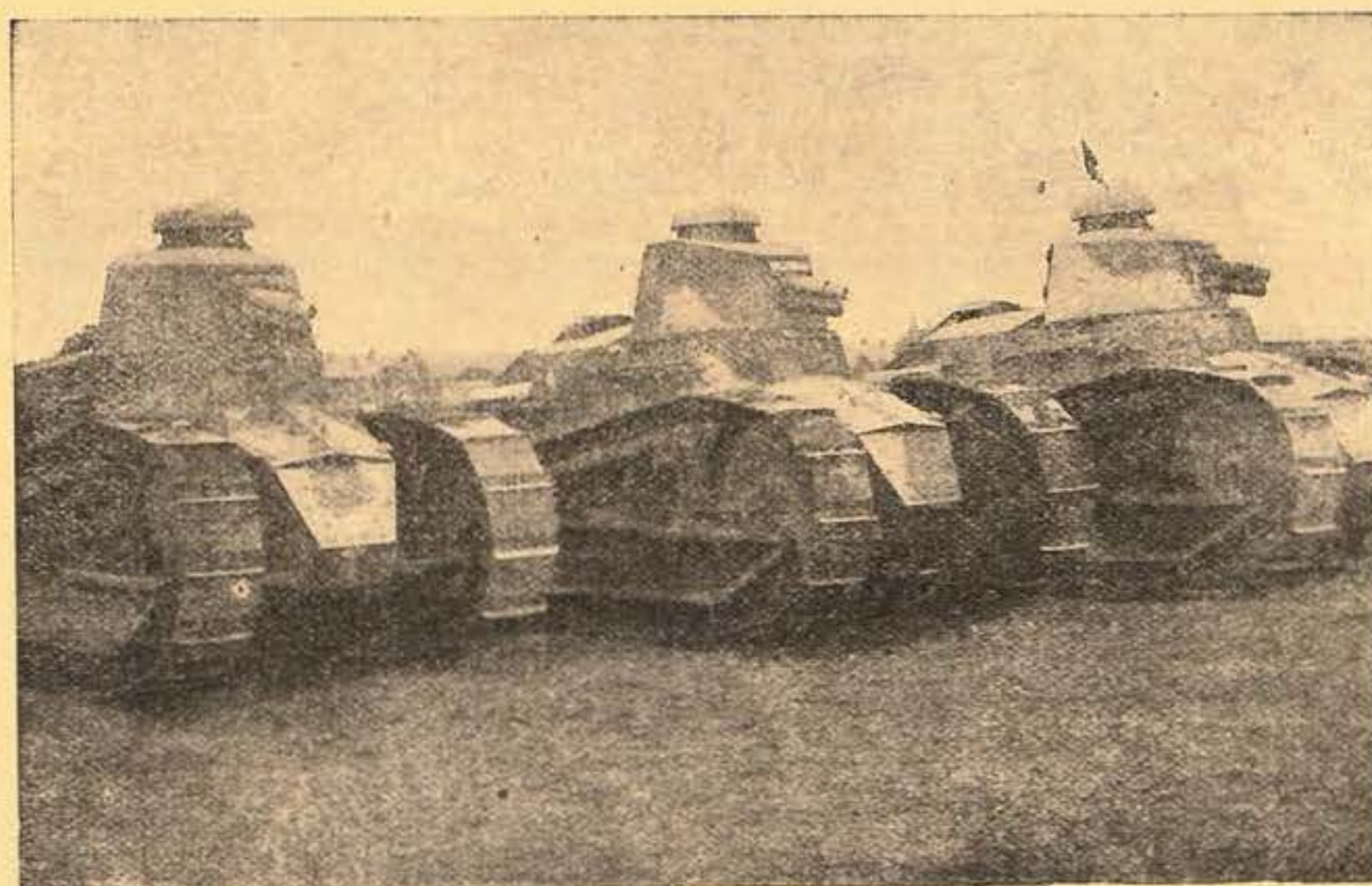
Ciekawszy może opis działalności czołgów pod Bobrujskiem podaje „Wiarus“.

„18 sierpnia kompanja otrzymała rozkaz i tegoż dnia wieczorem w wagonowała się i wyruszyła. 22-go przybyła do Lidy, gdzie jej przeglądu doko-

wanych w okolicy pięknych arabach. Czołgom towarzyszą dwie kompanje piechoty i półbaterja 75 mm. artylerji z grupy gen. Konarzewskiego; żołnierze świetnie się prezentujący pod względem wyćwiczenia, wykwapowania, werwy i dobrej myśli. Osią utaku jest szosa z Oszowej do Bobrujska; linja wyjścia biegnie na północny wschód od Oszowej wzdłuż rzeczki tejże nazwy.

Po północy czołgi przybywają na linję wyjścia; na przodzie i skrzydłach trzy patrole, każdy składający się z jednego podoficera i 4 żołnierzy; czołgi gotowe do strzału.

#### POLSKIE CZOLGI



Czołgi z przodu.

nal dowódcę frontu, gen. Szeptycki; w cztery dni potem ruszyła stąd w kierunku na Bobrujsk, do grupy gen. Konarzewskiego, z którą miała wziąć udział w nowych operacjach. Kompanję dowodzi kapitan Dufour, Francuz, człowiek dzielny i szczerzej życzliwości dla Polski.

W jesieni zostaje kompanja wyladowana. W półtorej godziny potem wyrusza z instrukcją poparcia pół baonu piechoty i pół baterji artylerji w ataku na Bobrujsk.

W przeciągu 3 godzin kompanja przebyła 8 kmt., oddzielających Jasień od Oszowy, nie zajętej jeszcze przez wojska polskie. Przewóz 2000 litrów benzyny i oliwy odbywa się na zarekwiro-

Noe ciemna „choć oko wykol“ utrudnia ruchy. Mimo to, dzięki sprawności i inicjatywie żołnierzy, kolumna razno się posuwa. O godzinie 2-giej w nocy kompanja zajęła wskazaną pozycję o 200 metrów na północ od Oszowy.

Szybko napelniono zbiorniki i cała kompanja, uszykowana w kolumnę rusza wzdłuż szosy z Oszowy do Bobrujska.

Piechota przed czołgami sprawuje służbę wywiadowczą i ubezpieczeniową.

Marsz odbywa się szczęśliwie.

Kolumna mija śpiesznie Baranowicze. Podobno bolszewicy ufortyfikowali się mocno na wschód od

Wolezanki, do której dochodzą nasi koło godziny 5-ej rano.

Piechota rozwija się sprawnie, jak na ćwiczeniach. Rozpoczyna się ogień karabinowy: to piechota uchwyciła czucie z wrogiem. Kule dochodzą z rzadka do czołgów, odległych od niej na jakie 200 metrów, nie czyniąc strat. Czołgi podsuwają się powoli, flegmatycznie pod stanowiska piechoty, jakby pewne swojej niezachwianej siły i skuteczności ciosu. Przybliżają się na 50 metrów do Wolezanki. Ogień wzmacnia się i przez chwilę robi wrażenie huraganowego. Karabiny, karabiny maszynowe, miotacze min, artylerja ze stanowisk i z pociągu pancernego otwierają na nasze stanowiska ogień, który kolegom Francuzom z czołgów, jak mówili, nasunął wspomnienie dawnego frontu niemiecko-francuskiego. Zagroda, mniej więcej 50 metrów od zachodniego brzegu Wolezanki, poważna; ogień skoncentrowany na niewielkim odcinku zupełnie odkrytej płaszczyzny czyni znaczne straty wśród piechoty, która pośpiesznie ukrywa się za słabe naturalne zasłony terenu.

Teraz kolej na czołgi. Dowódcą kompanji, kapitan Dufour, daje rozkaz pierwszej sekcji rozwinąć się na północ od szosy; drugiej i trzeciej — na południe. Rozwinięcie następuje szybko; poczem czołgi żwawo ruszają do ataku.

Pas ognia artyleryjskiego przebyto bez strat; gdy czołgi pierwszej sekcji, zbliżają się na 50 metrów od pierwszej linii okopów, nieprzyjaciel rozpoczyna bardzo celny ogień. Jednocześnie 2-ga sekcja i trzecia, manewrując zręcznie, wykonywują ruch okrężny i biorą z boku okop nieprzyjacielski pod ogień. Trzecia sekcja znajduje dość korzystne miejsce przebycia przez strumień i rozpoczyna przejście. Ogień z czołgów jest tak celny, że nagle nieprzyjaciel rozpoczyna ucieczkę w popłochu, porzucając broń, ekwipunek i materiały. Opór bolszewików trwa może 10 minut; spostrzegają, że rzeka, za którą czuli się „jak u Pana Baga za piecem“, nie jest poważną przeszkodą dla kolosów z żelaza, zbijających na nich ogniem. Towarzysząca czołgom piechota rzuca się naprzód, zajmując pierwsze pozycje nieprzyjacielskie, umocnione siecią drutu kolczastego szerokości na 5 metrów i gęstymi stanowiskami karabinów maszynowych.

Trzecia sekcja tymczasem częściowo przebywa Wolezankę; przeprawa jednak z powodu bagnistego brzegu i dna rzeki jest dość ciężka, a pięć czołgów grzęźnie. Tymczasem most, niedbale uszkodzony przez bolszewików, zostaje naprawiony przez pluton pionierów i czołgi, poprzedzone piechotą, szczęśliwie dostają się na wschodni brzeg Wolezanki, rozpoczynając pościg. Zapal załogi jest tak wielki, że czołgi bez odpoczynku śpieszą naprzód, nie bacząc na ogień artylerji, wstrzelonej z niezwykłą precyzją w szosę. Niebawem sekcja dogania piechotę. Około

godziny 7-mej wszystkie czołgi, z wyjątkiem jednego, ugrzęźniętego głębiej, idą już znowu w szyku bojowym o 50 metrów za linią piechoty.

Wtem piechota zatrzymuje się na drugiej linii nieprzyjacielskiej o 1 klm. na wschód od wsi Siemkowo.

Piechota żąda pomocy.

Kapitan Dufour rozkazuje sekcji drugiej, rozwinąć się do ataku. Czołgi zręcznie wykonywują manewr, wyprzedzają linię piechoty i posuwają się pod silną nieprzyjacielską pozycję.

Jeszcze nie zdolano dać jednego strzału, kiedy bolszewicy, jak na pozycjach poprzednich, porzucając broń opuszczają stanowiska. A gdyby je dzielnie broniono, nie obeszłoby się bez znacznych ofiar, okopy bowiem były solidnie skonstruowane, wyłożone drzewem i ubezpieczone drutami kolczastymi. Prócz tego miały szczęśliwsze topograficznie położenie przez jaśniejsze pole obstrzału. Radość z powodzenia i osiągniętego zwycięstwa opanowuje żołnierzy, którzy nie bacząc na zmęczenie uciążliwym marszem i walką, prą za uciekającym nieprzyjacielem. Piechota wyprzedza znów czołgi, które jej wytrwale kroku dotrzymują. Wreszcie zatrzymują się na postój, na zboczu wschodnim lasu bobrujskiego. Piechota idzie naprzód, a czołgi czekają na benzynę, którą przywieziono niebawem na samochodzie ciężarowym, a z nią zawitała i kuchnia polowa, tak długo oczekiwana. Zbiorniki śpiesznie napelnia się oliwą i benzyną, wiara pożywia się uczeiwie. Wesoło ze śpiewem w trzy godziny później wkracza kompanja z 14 czołgów do Bobrujska. Ludność entuzjastycznie wita zwycięzców, podziwiając poraz pierwszy widziane kolosy. Wieczorem przybywa jeszcze 5 czołgów, naprawionych przez oddział reperacyjny, tylko jeden, ugrzęźnięty pod Oszową pozostaje jeszcze w tyle...

Podezas całej tej operacji załoga czołgów, zarówno Polacy, jak Francuzi, rywalizowała wzajemnie w odwadze i zapale. Starzy konduktorzy francuscy prowadzili swe czołgi z wielką zręcznością, dając dowód swego gruntownego doświadczenia, młodzi zaś ich uczniowie Polacy, wykazali, że w niedługim czasie zdolają im dorównać.

Fotograf amator.

\*\*\*\*\*

## U Wolskiej reduty

w 88 rocznicę śmierci generała Sowińskiego.

Pamiętam jesienny, półmglisty ranek  
z gromadką harcerzy spędzony cicho  
na wolskim ementarzu, wśród mogił szranek  
w szukaniu szanca — z mapką bardzo lichą.

— „On zginął w kościele!“ — Jasio w głos woła —  
— „Nieprawda! w armatę szcudło miał wbite!“ —  
Ktoś drugi zaprzecza: „u drzwi kościoła,  
— szanec reduty już były zdobyte!“ —  
I w oczach się pali płomień zapalu,  
drżą usta harcerskie serca wzruszeniem,  
a słońce z oparów wstaje pomalu  
i ementarz przetotem drży rozrzewnieniem.

Cisza jesieni mnie tuli promienna  
w tak niewymowne, polskie marzenie,  
że zda się przeszłość rozwarta bezdena  
i młodym z mogiły śle uściśnienie.  
Wtedy zrozumiał mocarność mogiły,  
do której kochana młodość spoziera,  
bezczenną wartość ementarniej siły,  
w której dla młodych śpią sny bohatera.

Druchowie! klękajcie tu razem ze mną,  
oblane złotem podnieście czupryniki,  
nasza wycieczka nie będzie daremną: —  
na polskim kurhanie zrobimy wspominki!  
Niech tży się cisną przeczyste, rzesiste,  
w sereu uniesień niech pęknie ładunek,  
w jesiennie opary — sny promieniste  
generałowi złożymy meldunek!

O ty!... gdy ostatni przebity sztychem  
na termopilskiej poległ reducie,  
mundur polaka ubrałś przepychem  
w krwi nieśmiertelnej czerwone rozrucie —  
I moderunek żołnierza wysoko  
wzniosłś do szczytów strzelistych, wawelskich —  
Sztandar honoru z krwi czarnej posoka  
i pieśnią z Mazowsza chórów anielskich!  
Leonidasię polskiege legjonu —  
jak lew skrwawiony ległś tu na straży...  
Twe szcudło w kole armaty!.. Do zgonu  
groźny strażniku rodzinnych ementarzy!  
Do Ciebie wznosim rozmodlone dusze,  
do Ciebie przeżym nasze rozmarzenia...  
O sny nam ześlij, ześlij oczajdusze  
o siłę ducha przemocnej, z kamienia!

By wszędzie były wolskie Termopile,  
gdziekolwiek wrogi wtargnąć się poważą,  
by młodość stała — w jednej zwarta siła —  
nad polskim cudem nieustępną strażą.  
Byś był ryngrafem każdej młodej piersi,  
która w tęsknocie szuka swej polęgi,  
by imię Twoje wzywały najszczęśliwie,  
byś Ty rycerskiej był strażnikiem księgi.

Za Tobą idziem — nas już jest tysiące —  
wiedz nas o szcudle stary jenerale  
w poranne zorze nad wschodem krwawiące,  
gdzie Stawa czynu wita Polskę stale.  
Nigdy z młodem nie będziesz w rozterce,  
jako to niegdyś smutnie ci bywało —  
myśmy przebite przeblagali serce  
mężczeństwa Ducha epopeją całą...

Leszyc.

22—XI—1919.

\*\*\*\*\*

## Kijów — Warszawa.

Kartki ulotne z podróży w lecie r. 1919-go przez front bolszewicki.

— Maniek, czy masz zamiar długo tu jeszcze trwać?

Przecież jasnym jest, że nie wytrzymamy w Kijowie: jeść niema co, zarobków żadnych, pracę harcerską prowadzić musimy konspiracyjnie — a już zaczęły się aresztowania wśród kolonji polskiej! — Zmarniejemy — i tyle., mówił do mnie Mietek W. dostojny kierownik naszej Komisji Dostaw Harcerskich.

— Tak, to wszystko smutna rzeczywistość, oczekują nas jeszcze gorsze chwile, ale prowincja ma lepsze warunki, trzyma się, a my — Naczelnictwo — nie możemy ich przecież opuścić, nasze miejsce tu na kresach — Wiesz, Mietku, przed chwilą właśnie otrzymałem raport z M — przewieziony przez piętnastoletnią harcerkę — donoszą, że bolszewicy rozstrzelali im niedawno siedmiu harcerzy...

A gdy pomyślę, że przecież naszych jest tu około pięciu tysięcy, to tem mocniej upewniam się w potrzebie pozostania aż do ostatniej chwili.

— Ha, skoro tak chcesz... to i my wszyscy zawsze z tobą razem — odparł mi Mietek po namyśle.

— Dziękuję ci.

Doszliśmy do miejsca, gdzie drogi nasze rozchodziły się — uściskaliśmy się serdecznie i każdy, zamysłony, poszedł w swoją stronę.

Idąc, mało zwracałem uwagi na to, co się działo na ulicy. Troska o los ukochanej organizacji i ciężar odczuwanej odpowiedzialności za powierzonych przez Naczelnika ludzi nie dawała chwili spokoju. Był to maj 1919 roku, czas strasznych prześladowań ludności polskiej na Rusi i w Rosji przez bandy żydowsko-bolszewickie, dnie — gdy życie ludzkie nie miało najmniejszej wartości, gdy

setki ginęły z rąk rozbewstwieńców i zgłodniałych mas, umiejętnie podszezuwanych przez dobrze płatnych agitatorów. Dodajemy do tego ciągłe walki wewnętrzne, kraj rozdzielony na różne wrogie sobie „armje“ i „rządy“ — oraz ogólne dążenie bolszewików i ukraińców do systematycznego niszczenia żywiołu polskiego na kresach wschodnich — a zrozumiałą stanie się ta straszna atmosfera, w której harcerstwo istniało i pracowało.

Warunki życia były też okropne — dość powiedzieć, że funt chleba z grochowej mąki kosztował 25—30 rubli, funt masła 80—100 rb., f. słoniny 80 rb., ubranie 6000 rb. i t. d.

A z Polski wieści żadnych — głucho — cicho — rzadkie odgłosy były tak niejasne, informacje gazet bolszewickich tak przewrotne, że serce ścisnęło się bólem i na ustach stałe wisiało ciche, wszystko w sobie mieszające serdeczne pytanie: „co się dzieje w Polsce? Co my mamy robić?“ — Naczelniectwo Harcerskie, stawiając organizację naszą na stopie wyjątkowej, cofając wszelkie urlopy instruktorom w celu utrzymania za wszelką cenę drużyn, wysłało równocześnie kurjera — instruktora (piechotę!) do Warszawy do znajdującego się podówczas tam na zjeździe Rady Naczelnej naszego Naczelnika, druha Stanisława Sedlaczka — w celu otrzymania jasnej odpowiedzi na powyższe pytania.

Wysłany poszedł...

Przez długie tygodnie żadnych o nim i jego koledze wieści nie było. Pozostałe zaś grono instruktorów i instruktorek harcerskich wyteęzało wszystkie siły, aby do chwili powrotu kurjera wytrwać. Jednak w szybkim tempie następujące po sobie wypadki zmusiły nas do przeprowadzenia zawczasu likwidacji biur, sekretariatów, K. D. H., czasowego zawieszenia pisma „Harc“, ukrycia wszelkich śladów istnienia organizacji — a równoczesnego wzmocnienia pracy konspiracyjnej.

W pierwszych dniach maja b. r. bolszewicy zaarrestowali w jadalni akademickiej dwudziestu siedmiu akademików i akademikzek polskich — najdzielniejszych pracowników na terenie pracy społecznej w Kijowie. Kilku osób z nich należało też do Związku Starszych Harcerzy, który zupełnie do brze u nas funkcjonował.

Część aresztowanych została czasowo wypuszczoną, część zaś powrótnie i na dłuższy czas t. zw. „czereczajka“ (\*\*) pochwyliła w swe krwawe szpony.

Każdego z nas mógł jada chwila ten sam los spotkać.

Nie dziwnego więc, że nie wesoło było mi na duszy, gdy o tem myślał. Troška o los pracy, prowadzonej z takim mozolem przez lat pięć, nie da-

wała spokoju nikomu z naszej żytej, braterskiej paczki kresowców.

Dochodziłem do szkoły polskiej przy Rylskim zaułku. Chciałem odszukać tam kilku harcerzy, którym miałem dać polecenie w związku z spodziewanymi nocnymi rewizjami w mieście.

U wejścia zwrócił moją uwagę mały warty chłopeczyna, którego twarz nie była mi obcą — stał i płakał rzewnie...

— Czego beczysz, biszkopecie? Może ci w czem pomóc?

— O... druhu, druhu... dzisiaj bolszewicy zaarrestowali mego zastępowego — przy tych słowach oczy błysnęły mu zawziętością a mała piastka zacisnęła się kurczowo... ale my się nie damy, nie!

Zaniepokojony, pobiegłem sprawdzić tę wiadomość.

Rzeczywiście, przed kilkoma godzinami bolszewicy zaarrestowali na ulicy dwóch najdzielniejszych zastępów z II Kijowskiej drużyny harcerskiej.

Rozpoczęliśmy natychmiast łącznie z patronatem zakulisowe starania o uwolnienie. Na szczęście bolszewicy nie mieli żadnych dowodów obciążających i po dwóch dniach chłopcy zostali wypuszczeni.

Dla mnie zaś było to znamienne przestroga: „zaczyna się“. Trzeba więc było podwoić ostrożność i czujność.

Ukryto wszelkie papiery w jeszcze pewniejszych miejscach, wyznaczono zastępczynię z grona instruktorek na wypadek aresztowania instruktorek lub konieczności wyjazdu z miasta, porozumiano się z patronatami. — Naczelniectwo Harcerskie wydało odpowiedni rozkaz z instrukcją dla kierowników drużyn — i wszystko szło znów postaremu. Trwaliśmy.

Dzień 11-go i 12-go czerwea 1919-go roku...

Daty te wryły się mocnymi zgłoskami w mojej pamięci. 11-go czerwea wieczorem otrzymałem ostrzeżenie od dobrze mi znanego oficera rosyjskiego, pracującego z rozkazu j. Denikina w kontrwywiadzie bolszewickim w celu szpiegowania bolszewickich władz.

Miano mnie aresztować, jako jednego z kierowników organizacji harcerskiej, uznanej przez władze żydowsko-bolszewickie za jawnie kontrrewolucyjną.

Sytuacja stawała się groźną.

Wydałem ostatecznie rozkazy do druhów i druhen, poleciłem zastępcom objąć funkcje.

Cheąc mieć jednak zupełnie czyste sumienie zapytałem się owego oficera przez telefon w sposób umówiony, co mnie czeka, jeżeli dam się aresztować.

12-go czerwea rano o g. 8-ej otrzymałem kartkę bez podpisu tej treści: „Was razstrelajut, predostieregitie wsiech polakow, czto skoro budut obyski i aresty“ (was rozstrzelają, ostrzeżcie wszystkich polaków, że wkrótce będą rewizje i aresztowania).

Nie miałem więc chwili do stracenia.

Polskie organizacje społeczne zdażyłem ostrzec, kupiłem bilet na zasadzie uzyskanej przed kilku dniami przepustki, wymeldowałem się do Czernihowa, przebrałem się w ubranie żołnierza-bolszewika, w rękaw zaszyłem kawałek płótna z napisaniem na nim zaświadczeniem harcerskim — i o g. 22-ej pp. siedziałem już na statku, płynącym po Dnieprze z Kijowa do Homla.

Na przystani w Kijowie wskutek nieostrożności (powiedziałem kilka słów po polsku) o mały włos nie zostałem aresztowany — lecz szczęśliwie od tej przykryj ewentualności zdołałem się wywinąć. Statek wartko pruł fale, lekko się kołysząc...

Pogoda była cudna, prawdziwie czerweowa. Stojąc na pokładzie z niewysłowioną rozkoszą przyglądałem się pięknym widokom, roztańczającym się na pobrzeżach stalowego Dniepru, widokom dobrze mi znanym a zawsze uroczym i nowym...

Piękną bowiem jest Ukraina, piękne ma rzeki, niebo i ziemię. Obfitować może we wszystko, czego człowiek zapagnie, podstawą zaś niewyczerpalnych wprost bogactw jest rzadkiej wartości i urodzajności ziemia — czarnoziem.

Lud jeno jest tu dziki i ciemny, zdolny raczej do niszczenia i mordów, niż do rzetelnej sumiennej pracy — jak to obecne straszne czasy wykazują — i wielkiej energii i poświęcenia tysięcy ludzi trzeba będzie, zanim z dzisiejszego chaosu wyłoni się lepsze jutro.

Muszą tu stanąć do walki ludzie silni, nieugięci — potrzeba tu harcerzy — by, jak za dawnych lat, umieli sypać obronne szaniec w każdej żywej dziedzinie, mogące zasłonić skutecznie naszą Rzeczpospolitą przed dzieją Wschodu.

Po dwóch dniach dość nieprzyjemnej podróży (brak żywności, spanie w nocy na pokładzie... zimno... brt!) wplynęliśmy na rzekę Soł — dopływ Dniepru — i zaczęliśmy powoli zbliżać się do Homla. Plan mój był nader prosty.

Musiałem wycofać się możliwie szybko z terenu t. zw. bolszewickiej „Republiki Ukrainskiej“, zatrzeć ślady za sobą i przedostać się przez front do Polski. Przez dojechanie do Homla przenosiłem się na teren bolszewickiej „Republiki Białoruskiej“, gdzie znali mnie tylko harcerze; pościg zaś, jeżeli był, mógł być prawdopodobnie skierowany w stronę Czernihowa mogą szukać!

W Homlu zatrzymałem się kilka dni, korzystając z gościnności miejscowych harcerzy. Dzień-

ni chłopcy starali się ułatwić, co tylko mogli, abym mógł możliwie najbezpieczniej dojechać koleją do frontu. Wybrałem drogę przez Kalinkowice do Lunińca, licząc, że przez błota Pińskie łatwiej będzie się przedrzeć między placówkami „czerwonej armji“.

W Homlu dogonił mnie po dwóch dniach jeden z drużynowych z Kijowa, Mietek E..., oraz przyłączył się zastępowy I Hm. Dr. H. — Bolek P..., któremu groził pobór do armji bolszewickiej.

Było więc nas razem trzech.

Po długich rozważaniach, badaniu sytuacji i staraniach zdobyliśmy dokumenty obywateli austriackich, wracających z niewoli do „Vaterlandu“. Znajomość języka niemieckiego oddała mi nieocenione usługi przy wyrabianiu dokumentów w „radzie delegatów żołnierzy niemieckich i austriackich“. Zaopatrzeni w powyższe papiery próbowaliśmy otrzymać przepustki w stronę frontu — lecz napróżno. — Gdyśmy już byli zdecydowani zaryzykować i jechać bez przepustek, ostrzegł nas jakiś poczciwy kolejarz, że wyszedł rozkaz zatrzymywania wszystkich obcopoddanych i wysyłania do obozu koncentracyjnego pod Kijowem w celu uformowania z nich „internacionalnej diwizji“!

Musieliśmy więc zrezygnować z projektów — i obmyślać inne wyjście z zaiste niemiłego położenia.

Wypadek przyszedł nam z pomocą. Dzięki przeczytanemu ogłoszeniu wpadliśmy wreszcie na pomysł zapisania się na bolszewickiej giełdzie pracy na roboty wojskowe przy naprawianiu mostu na rzece Prypeti — w okolicach Mozyrza.

Sztuczka udała się znakomicie — otrzymaliśmy bolszewickie dokumenty i przepustki, stwierdzające, że wyruszamy do Mozyrza w charakterze... cieszli!

W taki sposób mogliśmy przejechać część drogi (do Kalinkowicz) zupełnie bezpiecznie, a dalej — co Bóg da i spryt harcerski pomoże.

— Heniek, Kalinkowice już blisko... mruczał Mietek, energicznie dając mi sółkę w bok. — Teraz musimy albo do Mozyrza, jak stoi w papierach, albo też jechać dalej. Tylko te przekłete rewizje...

— E... co ma wisieć, nie utonie... jedziemy dalej! Skoro raz udało się dostać do pociągu, to siedźmy — odpowiedziałem szeptem. — Bolek niech idzie i poszuka konduktora, da mu co w łapę i zaproponuje ukrycie nas przed dalszemi rewizjami. Może się uda...

W tej chwili zauważyłem, że „towarzysze“, jadący w pociągu dość podejrzliwie zaczynają się nam przyglądać. Dodałem więc zaraz głośno: „Wau! ka, przyniesi ezaju!“

Bolek wziął imbryk i wyszedł.

Minęliśmy kilka stacji. Na jednej z nich wsiadło do wagonu około pięćdziesięciu żołnierzy

bolszewickich, kleli i odgrzali się na „burżujów“, chwalać się różnymi „bohaterskimi“ mordami.

— Ładne towarzystwo—przemknęło mi przez głowę.

Z pod oka obserwowałem tych dostojników. Po pewnym czasie wrócił Bobek, niosąc gorącą wodę do herbaty. Przygotowaliśmy posiłek (herbata i czarny chleb), częstując uprzejmie bolszewików, co im się niezmiernie podobało.

W czasie tej arcy-skromnej uczty szepnął mi Bolek:

— Już zrobione. Musimy się przenieść do innego wagonu. Przyjemność kosztuje osiemdziesiąt rubli.

— Bene.

Kilka minut później wysiedliśmy w Kalinkowiczach i przenieśliśmy się do wagonu wskazanego przez konduktora. Ulokował nas w dawniejszej czwartej klasie na „trzecim piętrze“ czyli na niemiłosiernie brudnych półkach, na których zazwyczaj składało się rzeczy.

W wagonie było ciemno, wieczór się zbliżał—więc schowanie było dobre.

Pociąg rusza.

Czekamy z bijącymi sercami na przyjsie rewizji.

Uda się — czy nie.

A konsekwencje „wsypy“ mogły być, stosownie do istniejących bolszewickich rozporządzeń, bardzo niemiłe: obóz koncentracyjny, ciężkie roboty i w trakecie tego szczegółowe śledztwo... skąd, dokąd, co za jedni i t. d., a gdyby się dochrapano, co za ptaszki jechały, to napewno koniec służby harcercskiej i życia.

Była chwila, żeśmy żalowali, że nie poszliśmy piechotą.

Ale... co tam! Raz kozie śmierć!

Wreszcie — idą!

Kurezymy się, starając zająć możliwie najmniej miejsca.

Mietek wtyka nos w szynel i myśli, jak kuropatwa, że go w taki sposób nie zobaczą.

Lampka miga, słychać przekleństwa od których formalnie wiedzna nasze harcercskie uszy.

Przekupiony konduktor zagaduje—złowieszeze i mocno woniąca wódka (samogonka) cienie przesuwają się dalej, zabierają jakąś ofiarę chłopca bez przepustki—popychając go uderzeniami kolb przed sobą. Przeszli.

Przechodzili tak pięć razy.

Ostatnia wizyta mogła być brzemienna w następstwa, gdyż jeden z bolszewików spostrzegł nas, szturchnął mnie karabinem i zawołał: „Dokumenty!“

— My jedni na kaziennyja roboty! (jedziemy na rządowe roboty), odpowiedziałem mu, podając nasze przepustki do Mozyrza i postanawiając udawać najwężego.

— Wsio w poriadku!—odmruknął, zwracając mi je. Może nie umiał czytać, może wystarczyła mu pieczęć bolszewicka... Dość, że skończyło się szczęśliwie.

Gdy wyszli, nie mogliśmy wprost pohamować wybuchu wesołości.

Dalsza droga przeszła względnie spokojnie.

Poranek różowy, czerwony, świtał—ozłacając swemi cudnymi promieniami smutną i krwawą krajinę bolszewizmu — gdyśmy znaleźli się na stacji w Lunińcu — o trzydzieści kilometrów od pozycji wojsk Polskich.

Lunińcu, mała wieścina pośród błot Pińskich się znajdująca, ważny węzeł kolejowy, przepelniony był wojskami bolszewickimi. Na stacji stałe można było zaobserwować pociągi opancerzone, liczne transporty broni, amunicji, żywności dla wojska, siano i t. p. Nie dziwnego w Lunińcu była kwatera sztabu brygady bolszewickiej, broniącej odcinka frontu.

To też dłuższy nasz pobyt tutaj, nie znających terenu i stosunków miejscowych, łatwo mógł zwrócić uwagę i spowodować smutne skutki. Na szczęście mieliśmy z sobą adresy domów polskich, wskazanych nam przez nieocenionych harcerczy w Homlu.

Przyjęli nas niejaacy państwo L... zaci ci ludzie z iscie staropolską gościnnością dzielili się z nami wszystkim, co posiadali, choć do ludzi zamownych nie należeli.

Służyli nam cennymi radami i wskazówkami jako też ukrywali w chwilach krytycznych — za co obecnie składam im w swoim i towarzyszy podróży imieniu serdeczne: „Bóg zapłać!“

Dążeniem naszym było przekraść się do rodaków korzystając z udogodnień okolicznego terenu: lasów i błot. Podobne przejście można było przeprowadzić tylko w nocy i z dobrym przewodnikiem, doskonale obznajmionym z wszelkimi tajnikami i niespodziankami: niezmiernych i zdradliwych bagien jak również z rozlokowaniem placówek bolszewickich. Niestety — próby czynione przy życiwej pomocy pana L., znającego miejscowych ludzi, nie przyniosły żadnych dodatnich rezultatów. Wszelkie usiłowania kończyły się na niczym — nawet za tysiąc rubli przewodnicy bali się przeprowadzić choćby jednego z nas „na tamtą stronę“, pomni masowych rozstrzeliwań przechodzących przez front. Bowiem na kilka dni przed naszym przyjazdem wydano surowy zakaz pod grozą kary śmierci przechodzenia do wojsk polskich. — Nawet dokumenty t. zw. „bieżenieów“ czyli wysiedleńców, pragnących wrócić do ojczyzny, nie miały żadnego znaczenia i omal nie stały się przyczyną „ewakuowania“ nas w głąb Rosji. Rozejrzawszy się w takiej sytuacji, straciliśmy dużo na humorze — markotno zrobiło się nam na duszach.

Co począć?

Legalnie — nie puszczają. Przekradać się — niema przewodnika, a samemu — to szaleństwo. Pozostaje najgorsze — czekać. Czekać w takich warunkach, gdy każdy ruch, każde wyjście z domu, każde odezwanie się, może spowodować niemiłe zażalenie się o dokumenty — i nasze błogie zamiary skończą się bardzo smutnie.

A tu dnie, szare ponure dnie mijają jeden za drugim.:

Mija wreszcie tydzień.

Zdajemy sobie sprawę, że w takich okolicznościach jedynie spodziewana ofenzywa wojsk polskich ocalić nas może.

A kiedy to nastąpi?.

Tymczasem pieniądze zaczynają nam wychodzić i zatrważającą szybkością dzięki szalonej drożyznie, a najbliżsi sąsiedzi domku państwa L. uporczywie dopytywać się, co to są za młodzi trzej ludzie i czy krewni — czy może znajomi?

Żle. —

Po krótkiej naradzie przychodzimy do przekonania, że dalsze „ukrywanie się“ doprowadzi do katastrofy i że raczej należy stosować ofenzywę — jako najlepszy sposób obrony (zasada taktyki!) Lepiej przeto będzie, jeżeli sami pójdziemy do bolszewików, niż gdyby bolszewicy po nas przyszli...

Postanawiamy starać się o... bolszewickie posady!

Decyduję się iść pierwszy w ogień.

Zgłaszam się do „Rewolucyjnego Komiteta“ (skrót: „Rewkom“) i proponuję swoje usługi jako student — technik, poszukujący odpowiedniej posady na wakacje.

Dzięki uprzejmej pomocy córki wspomnianych państwa L. zostaję mianowany uroczyście „instruktorem po wniezkolnomu obrazowaniu Pińskiego Ujezda“ (instruktorem oświaty pozaszkolnej w powiecie Pińskim) z pensją miesięczną rubli trzy tysiące, biletem na śniadania, obiady i kolacje w restauracji „sowieckiej“ i kwitem na prawo rekwizycji pokoju z meblami w dowolnie obranym domu „burżuazajnym“

Widać moje demokratyczno-oberwane przebranie wzbudziło odpowiednie zaufanie w miejscowych komunistycznych przywódcach, bo nawet nie bardzo wypytywali się skąd zjawilem się w Lunińcu. A najważniejsze, że do moich obowiązków należało objeżdżanie frontu i organizowanie wykładów i czytelni o charakterze wyłącznie oświatowym, nie politycznym. Odpowiadało to znakomicie moim planom, gdyż objeżdżając front mogłem upatrzeć odpowiednie przejście i „raz w ciemną noc“ dać nura razem z moimi druhami.

Niestety, i teraz jeszcze nadzieja zawiodła. Bolszewicy, pragnąc widocznie bliżej mnie poznać i nieco wypróbować, nie postali mnie od razu na front, lecz polecili przygotowanie programu odezy-

tów, szkiców i planów objazdów i zorganizowanie biblioteki w Lunińcu. Trzeba było baczność podwoić, by niczem nie wzbudzić podejrzenia — i zabrałam się żwawo do roboty. Hacerska energia na tle bolszewickiego biurokratycznego „próżniactwa“ uwi- doczniła się jaskrawo, moi zwierzchnicy wyrażali duże uznanie dla mej pracy i t. p. Wyobrażam sobie, jaką musiałem mieć minę, gdy odbierał „pochwały“ od szanownych komunistycznych władz.

Orałem też rzetelnie — bo chciałem uspić ich czujność. Opracowałem żądane programy i zorganizowałem bibliotekę, do której książki leżały w skrzyniach już od trzech miesięcy, lecz nikt nie umiał zabrać się należycie do rzeczy. Z całą przyjemnością spędzałem osiem godzin dziennie (ośmiodziesięć godzinny dzień roboczy!) przy pracy.

Wśród stosów książek, wynajdując coraz to nowe skarby. Biblioteka składa się przeważnie z książek zabranych w okolicznych dworach i zawierała prawdziwie wartościowe, a często niezmiernie cenne i rzadkie okazy jak np. pierwsze wydanie dzieł Mickiewicza, pierwsze wydanie Voltaire'a i t. p.

Staralem się możliwie wszystkie skrzynie rozpakować, by w chwili krytycznej utrudnić bolszewikom wywiezienie książek i spowodować w taki sposób pozostawienie ich dla naszych wojsk.

Wieczorami badaliśmy w trójkę okolicę, notowaliśmy nazwiska różnych miejscowych komisarzy i t. d.

Mijały dnie. Przeszły względnie szybko całe dwa tygodnie.

(Dokończenie nastąpi)

St. Sz.

## „Szlakiem Walki“.

(Kartki z dziennika).

### Do bataljonu.

(ciąg dalszy)

Zasapany parowozik kolejki staje na malej stacyjce Kiewneliszki. Jeden budynek, raczej chałupa obok podwójnego w tem miejscu toru, przejazd, trochę budulec przygotowanego na barak budujący się dla wojskowego prowiantu, ot i wszystkie urządzenia stacyjki położonej na sporej polanie wśród rozległych lasów. Opodał jakaś chata czy leśniczówka z zagrodą. Pustkowie, tyle tylko, że łączność przez kolejkę ze światem. Podporucznik telefonuje z budynku do dowództwa baonu (to już nasz telefon polowy!), moi towarzysze podróży i miejscowi żołnierze ładują przywiezione towary

sklepu żołnierskiego na stojące długim sznuřem podwody. Z ciekawością oglądam małe wózki o wązkich drabinach, krótkich holobłach, zaprzężone „dugą” w niskie silne konie. Wreszcie ruszamy długą kolumną przez las — wspaniały, ogromny. Dzień dziś ciepły, słoneczny, ale tu w ciągłym cieniu nie bardzo się to uczuwa. Wprawdzie znać że las uprawiany, bo wskazują na to przesieki, ale prócz naszej wązkiej drogi i ledwie kilku ścieżyn w bok, nie widać śladów ludzkich. Nie wydeptane trawy, niezbiierany chrust. I drzewa rosną sobie swobodnie — sosny różnego wieku, sporo brzoź, trochę świerków — gdzieś tam świerk zacięziony usechl. Można tu kilkadziesiąt wiorst jechać lasem przerwany od czasu do czasu polaną lub jeziorem. Prawie cała nasza droga, przeszło milę licząca, wypada przez las. Uderza cisza tu panująca ptactwa — i zwierzyny mało — czy na skutek wojny? Koniki poganiane wciąż ciągną niezłe wózek z jednym lub dwoma ludźmi i sporą paką (więcej się nie mieści). Gospodarze pogadują po litewsku do siebie i rzadziej do nas po polsku weale nie łamaną polszczyzną.

Nakoniec wyjeżdżamy z lasu, mijamy ładne jezioro o wygiętych niskich brzegach, z jednej strony leśnych, z drugiej w części ajerem porośłych. Jeszcze małe wzgórze i zajeżdżamy na miejsce.

### Łabonary, bataljon.

Na froncie mamy teraz t. zw. spokój. Wobec tego dłuższy może czas tutaj pozostanę. Spokojne tu sielskie życie, że chwilami mogę mieć wrażenie wędrownego obozu harcerek. Tylko że niewiadomo jak to będzie, boć na wojnie różnie bywa, no i zupełnie inne towarzystwo. Ach gdyby armja polska składała się z samych ale dobrych harcerek! Nasze leguny — rekruty, w dużej części analfabeci, po części i stare leguny z „wielkiej wojny”, dziś oficerzy i podoficerzy wiele pozostawiają do życzenia pod różnymi względami.

Spokojna miła wieś litewska w cudnej okolicy jezior. Tutejsi mieszkańcy nazywają to miastem. Trudno się z tym pogodzić królewskowi. Toć tu zaledwie kilkuset mieszkańców: przeważnie litwini trudniący się rolnictwem, trochę żydów, handlujących najczęściej niezbędnymi towarami. Dziś ich sklepiki oczywiście puste po niedawnym odejściu stąd bolszewików. Jest tu zarząd gminy, w jednej bodaj naczelną osobie wójta, który dumnie się pod-

pisuje „wuyt Jeży Augutis” pod jakim ogłoszeniem wypisanem na papierku na ścianie kancelarji gminnej. Ta ostatnia to duża porządna chałupa o kilku dużych izbach, różni się od innych swą okazałością i powiewającymi nad nią flagami polską i litewską. Pewnie obywatele gminy jeszcze więcej się odemnie dziwią tej ostatniej fladze — ale przecież Polacy tu wnoszą wolność i chcą, żeby się ludność wypowiedziała — a nuż tutejsi Litwini wypowiedzą się za państwem litewskim? Jest w Łabonarach nawet budynek szkolny też okazalsza chałupa, za niemieców postawiona; ale najważniejszą, oczywiście, budowlą jest drewniany prosty kościół z dużą, takż drewnianą, pękatą dzwonnica. Ileż to ciekawych spostrzeżeń i uwag poczynić można w tej miejscowości, co za pyszne pole dla obserwacji i badań krajoznawczych! Niestety żołnieź na to nie ma możliwości. Uderzają go tylko rzeczy najbardziej widoczne — w tym „nowym” kraju.

(Dalszy ciąg nastąpi).

\*\*\*\*\*

### Od Redakcji i Administracji „HARCERZA”.

Długotrwały blisko 2-miesięczny strejk pracowników drukarskich (w czasie którego wychodziły tylko gazety i pracowała niewielka część drukarni przeważnie nie polskich) spowodował ogromną przerwę i opóźnienie w wydawaniu „Harcera”, podrywając przez to do gruntu wydawnictwo i rujnując go w okresie dalszego rozwoju.

Dwukrotne zdrożenie kosztów stawia nas wobec przyszłości bardzo niepewnej i w warunkach, za które Redakcja i Administracja tylko częściowo może być odpowiedzialną.

Niemniej postanowiliśmy wydawnictwa nie ograniczać lecz wydawać jak poprzednio co tydzień i utrzymać poprzednią cenę.

W miesiącu **grudniu** b. r. wyjdą zaległe N-ry:  
38—40 — październikowy w początku grudnia  
41—44 — listopadowy w środku miesiąca  
45—48 — grudniowy w drugiej połowie m-ca

Od Stycznia N-ry będą wychodziły normalnie jak poprzednio.

Prosimy o wznowienie prenumeraty na rok 1920.

\*\*\*\*\*

Prenumerata (wraz z przesyłką pocztową) wynosi miesięcznie 3 Mk. 20 f. Kwartalnie 9 Mk. Półrocznie 17 Mk.

Adres Redakcji i Administracji: **Krakowskie-Przedmieście № 5**, telefon 145-54 od 4—6 (wejście od ul. Traugutta 2—K D H.)

Redaktor **Alejozy Pawełek**

Wydawnictwo Naczelnego Inspektoratu.

Drukarnia „Gazeta Rolnicza”, spółka z ogr. odp., Warszawa, Złota 24.

Klisze „Helios”, Warecka 12.